

## MARIAN KEMPNY, NASZ PRZYJACIEL

Próbując ogarnąć myślą i zdać sobie oraz innym sprawę z istoty trzech wstrząsów, jakie przeżył jeden za drugim w 1990 r., dowiedziawszy się o zgonie trzech wielkich umysłów a bliskich przyjaciół, Jacques Derrida stwierdził, że śmierć każdego człowieka jest dla pozostałych przy życiu stratą niepowetowaną, jest bowiem końcem swoistego, niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju świata, którego nikt nigdy nie odtworzy i na nowo nie zbuduje; końcem ostatecznym i nieodwracalnym. O ten świat życie reszty z nas będzie odąd pomniejszone i uboższe — i takim pozostanie już na zawsze. To z doznania pustki, jaką odchodząc pozostawił zmarły w naszych światach, i z niemożliwości jej wypełnienia, uczymy się pierwotnego sensu dwu skądinąd wymykających się doświadczeniu, nieuchwytnych pojęć: wieczności i przemijania...

Dowiadujemy się też sensu unikalności — jedyności ludzkiego istnienia. Nie tyle dowiadujemy się zresztą, co ocieramy się oń — daremnie usiłując go uchwycić i przyznając się do bezradności, gdy próbujemy go wyrazić w słowach czy na piśmie. Jak ostrzegał bowiem już Georg Simmel — to, co zwykło się uważać za elementy osobiste, „to akurat nie należy do osobistych cech człowieka, wszak te właśnie znaki szczególne jego osoby charakterystyczne są też dla niezliczonych innych”. Mnożąc szczegóły, „nigdy nie dotrzemy do prawdziwej indywidualności” — „autentycznej” i zaiste niepowtarzalnej — „szczegółowość i indywidualizacja może nie zawsze, ale często wykluczają się wzajemnie”. Każdy kolejny szczegół przeczy indywidualności, sugerując wbrew prawdzie powtarzalność i wymienialność osoby. Dlatego na płótnach Rembrandta, który bliżej od tyłu innych próbujących dotarł do misterium jednostkowości, „tak często króluje rozedrganie, niewyraźne zarysy, zamazane granice”... Ów świat, jaki zmarły ze sobą do grobu zabiera, nie pomieści się w najobszerniejszym opisie. Mamy czasem wrażenie, że gdy już wszystko zostało powiedziane, to co najważniejsze dalej tonie w milczeniu.

Znałem Mariana Kempnego przez wiele lat, obcowałem z nim przez wiele godzin i dni, wymieniłem mnóstwo myśli, twarzą w twarz lub listownie. Przy

każdym spotkaniu z Marianem (a było ich, ku mojemu szczęściu, wiele — choć o wiele mniej, niżbym pragnął) zdawałem sobie sprawę, jakby czytając Simmla, że przede mną osobowość wyjątkowa, nie „suma poszczególnych jakości”, lecz „żywy organizm, pierwotna jedność, w stosunku do której szczegóły są czymś pochodnym i wtórnie wyodrębnionym”. A przecież teraz, gdy usiłuję opisać świat, o jaki odejście Mariana mój świat uszczupliło, na nic, poza wyliczaniem szczegółów, mnie chyba stać nie będzie!

A więc: Marian Kempny był uczonym — dociekliwym, sumiennym i skrupulatnym badaczem, pełnym uwagi i szacunku dla każdego z drzew, ale nigdy nie tracącym z oczu lasu. Sprostał bardziej, niż wielu z nas potrafiło, ideałowi, do jakiego Stanisław Ossowski chciał, abyśmy my, socjologowie, dążyli: ideału uczonego empiryka, ale nie empirycysty, człowieka świadomego dziedzictwa kultury i rytmu historii, a i tego, że każda z kulturowych i historycznych rzeczywistości jest tylko jedną z możliwych i że żadna z nich nie wyczerpie możliwości zawartych w bycie ludzkim.

Marian był ciekaw ludzkiego świata i ogarnięty namiętnością jego poznania. A bardziej jeszcze ciekaw był ludzkiego potencjału i ludzkich zmaganiań o jego odkrycie i spełnienie — zmaganiań popolicie „życiem” zwanych. W przypadku Mariana ta ciekawość nie była cechą zawodową; była cechą istoty ludzkiej, wbudowaną w „żywy organizm” zwany Marianem Kempnym i jego „jedność pierwotną”. Marian Kempny nie dzielił swego życia na zawodowe i osobiste. Jego życie było nieustającym dociekaniem granic ludzkich możliwości — ale też i testem własnych. A pewnie w jednym i drugim przypadku napędzanym nadzieją, że — jak się w końcu okaże — granice owe są wymysłem małodusznych i wygodnickich...

Marian był ciekaw ludzi; Marian był ludziom przyjazny. Zawód badacza i interpretatora ludzkich pragnień i poczynań nie był dlań sposobem na zarobek i zaszczyty, lecz powołaniem; powołaniem głównie z obowiązków wobec ludzi złożonym. Spieszył z pomocą, gdy go o nią proszono, a i wtedy, gdy potrzebujący pomocy nie zdawali sobie z tej potrzeby sprawy. Pomoc Mariana nigdy nie była zdawkowa; gdy się ludziom jak Marian służy, dba się o najwyższą każdej usługi jakość. W dorobku Mariana uderza liczba dzieł zbiorowych przez niego współorganizowanych i współredagowanych. Nie trzeba nam, „pracownikom naukowym”, tłumaczyć, ile za każdym z nich się kryje nieprzespanych nocy, żmudnej, mrówczej pracy, benedyktyńskiej wytrwałości, wyrozumienia wobec nieudolnych i cierpliwości wobec opieszających (pewnie dlatego, że o tym wiemy, unikamy na ogół obowiązków redaktorskich jak ognia; wolimy być redagowanymi niż redagować — i wdzięczni byliśmy losowi za to, że nas obdarował redaktorem, na którym jak na Zawiszy polegać mogliśmy). Gdy o pomoc ludziom szło, ten znakomity znawca teorii wymiany o równowartość darów nie zabiegał i nie dbał. Ma wśród nas o wiele więcej dłużników niż wierzycieli. Zresztą nawet gdy do wymiany dochodziło, rzadko kiedy, jeśli w ogóle kiedykolwiek, dług Mariana dorównywał naszym...

W spełnieniu swego powołania Marian nie wybierał łatwych dróg i nie szedł na skróty. Jego rzetelność wynikała z innej jeszcze cechy, o jaką apelował Stanisław Ossowski: odpowiedzialności za słowo. Uczony może się mylić, ale nie wolno mu mówić czy pisać czegoś, czego nie przemyślał, jak głęboko mógł, i nie przebadał, jak mógł gruntownie; z tego to wszak powodu, że się takiej odpowiedzialności po nim spodziewają, darzą go czytelnicy zaufaniem. A Marian Kempny nie uważał żadnej wędrówki poznawczej za ukończoną, zanim — jak powiadają Anglicy — nie podźwignął każdego z napotkanych na drodze kamieni czy głazów, by sprawdzić, co się pod nimi kryje.

Marian był człowiekiem, któremu można było ufać. W naszym rozbrykanym a chybotliwym świecie coraz mniej takich — a jako że ich mało i że ich ubywa, nie ma im ceny. Żadnego bodaj braku nie odczuwamy boleśniej. Marian był tym, czym dla miotanych falami jest widok trwałego lądu. Szczęśliwi ci z nas, którzy byli blisko.

Stało się, czego się bałem. Chciałem oddać, czym był ów unikalny świat, jakiego śmierć Mariana Kempnego mnie, a pewnie i resztę z nas, pozbawiła — a wyszedł mi spis „cech szczególnych”. A przecież żadna „cecha szczególna” nie jest unikalna, każda przysługuje wielu ludziom. Czym się zatem ten świat od innych odchodzących światów różnił, że jego stratę tak boleśnie odczuwamy? Na to pytanie nie zdołałem odpowiedzieć. Pewnie tego, co najważniejsze, ogarnąć w pełni i sformułować przejrzyście nie potrafię. Pewnie tym, co najważniejsze, był Marian Kempny.

*Zygmunt Bauman*

13 marca 2006 r.